

Miron Białoszewski

Nadawanie
Pogorszenie
Tajny dziennik 2

oraz

Listy do Eumenid

Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 2023

[kwiecień 1978]

Z popiersi Ostrowskiej nic nie wyszło. Le. poczuł się dotknięty tym, że córka Ostrowskiej, pani Halina G.*, zastrzegła się, że tylko dwa odlewy, i że w ogóle mało zwraca uwagę na Le., a w rozmowie z nami dwoma cały czas zwraca się do mnie i patrzy na mnie. Le. ze dwa miesiące temu nagle znalazł się pod moim domem z dwoma swoimi obrazami. Dowiadywał się, że ma gościć u mnie Barbara J., mająca decydujący głos w związku plastyków, a chodzi o przyjęcie go na członka rzeczywistego, i przywłókł ze sobą te obrazy, żebym ja jej po prostu to przekazał. Z początku byłem speszony trochę, a szczególnie tym, że miał przyjść w dodatku Lu., a z nim inni. Le. wjechał ze mną na górę i kiedy ja namyślałem się, czy obrazy mają być od razu na wierzchu, czy najpierw schować, a potem dopiero pokazywać, usłyszałem wejście Lu. i Lu.

— Już są.

Le. z roześmianą miną

— Schowaj to gdzieś do kąta.

Lu. i Lu. weszli.

Mieli miny pogodne i troszeczkę niepewne. Rozglądali się i pytali, dlaczego tak przeleciał jak nietoperz. Ja się zdziwiłem, że już przeleciał i zniknął, a widząc ich niepewność,

* Przypisy w niniejszym tomie (szesnastym), umieszczone po poszczególnych częściach autorskiego tekstu, nie powtarzają informacji, które zawierał tom piętnasty *Utworów zebranych*, czyli pierwsza część dziennika.

wy tłumaczyłem im, po co przyszedł. Od razu się uspokoili. Zdaje się, że był to moment, kiedy mogli do siebie zacząć mówić. Nie jestem pewien, ale być może istniała taka możliwość. Tego wieczora obydwie strony były nastawione wobec siebie wyjątkowo niezłośliwie i tolerancyjnie. Le. bardzo lubi ukrywać się, uciekać, a tym bardziej jeżeli wie, że ktoś go goni. Lu. i Lu. spytali o obrazy Leszka. Wobec tego pokazałem im od razu. Mówili to i owo. Ale wiedziałem, że przy Barbarze J. i przy innych osobach nie będą żadnych złośliwości prawili. Wyczułem ich dobry humor i gotowość nieutrudniania życia przynajmniej tego wieczora. Przyszła Hanna K. z IBL-u. Powiedziałem jej od razu w drzwiach, że wygląda bardzo młodo. Co było prawdą. Jak dziewczynka. Ona na to roześmiana

— Ależ, panie Mironie, co pan mówi

— Tak tak

Pod blokiem zaczął ją jakiś brodac i udzielił jej informacji, jak się do mnie trafia, bo na pewno ona do Mirona.

— Ja mu podziękowałam, że nie potrzebuję żadnych informacji. Zresztą mnie przestraszył.

Lu. od razu wpadł na to, że to Le. Ja miałem wątpliwości, ale nadeszły dwie malarki, Barbara J. i Helena W., i potwierdziły przypuszczenie Lu. Że jakiś brodac rozmawiał z nimi przed blokiem i mówił im dokładnie, jak się do mnie idzie.

Później dowiedziałem się od Le., że przedstawił im się nawet, odwiózł obydwie windą na górę i w windzie zdążyli we troje opłotkować Lu. i Lu. Ujęta tak Barbara J. oraz Helena W. chętnie spojrzęły na obydwu obrazy Le.

— Tak, ten obraz jest zupełnie dobry

Siedziały na skrzyni z płytami i mierzyły obraz rękami, sprawdzając w powietrzu proporcje

— A ten w konwencji realistycznej zupełnie dobry

Lu. i Lu. pogodnie milczeli. Barbara J.

— No, skoro chłopiec maluje, jest zdolny, to trzeba go przyjąć

Za dwa dni w tramwaju Le. zapowiedział mi, że wyjedzie zaraz do Holandii, do Miśka Holendra, na półtora miesiąca. Sprawa kluczy z placu Dąbrowskiego na mój domniemany tam pobyt okazała się dla mnie niekorzystna. Włodek obiecał Le. za danie mu kluczy na ten okres oprawienie wielu obrazów Le. w ramy. Le. powiedział, że nie jest to dla niego bez znaczenia.

Więcej Le. nie widziałem. Aż dotąd. Zaglądałem ze trzy razy na plac Dąbrowskiego. Ale było ciemno.

Pani Halina G., córka Ostrowskiej, poetki, napisała do mnie list, bo dostała ode mnie wiersze. Więc o wierszach i poza tym o *Zawale*. O Le. i o popiersiach nic nie wspomniała. Odpisałem jej, podziękowałem i sam napomknąłem o Le., że wyjechał do Holandii i że będzie na wiosnę, a poza tym nic o popiersiach nie wiem. Jak się dowiedziałem później, pisała również i do Le.

Będąc u Lu. i Lu., wspomniałem o Okuniu. Lu. na to, że Okuń był jego profesorem w szkole malarskiej¹. Że to był okropny malarz. Jako człowiek tak, bardzo sympatyczny.

Sandauer o mnie przez telewizję. Trochę irytująco, trochę rozczulająco. O pierwszym spotkaniu w Kobyłce, o tym, jak wyciągnąłem z kieszeni pisaną na bibułce *Karuzelę z madonnami*. To, zdaje się, nie było zupełnie tak, ale on ustalił, że jest tak, i tego się trzyma jak mitu. Mówił, że byłem blondynem o proletariackim wyglądzie. To bardzo rozśmieszyło Ludwika. Widział tą audycję i stwierdził, że Sandauerowi chyba jeszcze więcej teraz odstają uszy.

Sandauer nie bardzo uznawał moje późniejsze wiersze, do mojej prozy ma stosunek taki i siaki, ale jest proszony tu i ówdzie z okazji mnie. I wtedy nie odmawia i przypomina, że mnie odkrył.

Trzeba jednak pamiętać, że Sandauer przed wydaniem mojego drugiego tomiku, *Rachunku zachciankowego*, zrobił mi wielką przysługę. Kiedy wiersze do *Rachunku zachciankowego* już się zebrały, Sandauer przyjechał do mnie do Otwocka,

byłem wtedy w sanatorium, i proponował mi, że on ten tomik ułoży, ale pod warunkiem, że ja zrezygnuję z połowy co najmniej wierszy, tych niezrozumiałych, tych, które uzna za bardzo niepewne czy niedobre. Ja się na to nie zgodziłem. Chodziliśmy blisko jego samochodu, bo wtedy już przyjechał swoim samochodem, i objaliśmy się o kolczaste sosenki paździenikowe, i rozstaliśmy się pogodnie, ale bez rezultatu książkowego. W PIW-ie miałem wkrótce niezbyt przyjemną rozmowę. Andrzej Kijowski², który był wtedy tym, który załatwiał ze mną sprawy tomiku z ramienia redakcji, powiedział, że nie mogą wydać tomiku z tymi wszystkimi wierszami, które ja proponuję, bo sam bym doszedł do tego, że za te wiersze trudno ponosić odpowiedzialność. Byłem wtedy z Ludwikiem. Lu. siedział obok, nic nie mówiąc, a ja spokojnie wycofałem się z umowy i wyszedłem z Lu. z pokoju. Lu. stwierdził na ulicy, że zachowałem się po chińsku.

Kiedy Sandauer dowiedział się o tym rozwiązaniu umowy, wpadł do PIW-u i na korytarzu zrobił głośne wymówki, że poecie utrudnia się wydawanie wierszy, że on też nie wszystkie wiersze uznaje, ale to nie jest powód, żeby tamować drogę do publikacji. To natychmiast pomogło, wezwano mnie do PIW-u i przystąpiono do redagowania tomiku według moich propozycji w zupełności.

połowa kwietnia 1978

Na trzy tygodnie przed wyjazdem do Obór poszedłem w nocy na górny korytarz. Podczas deszczu. Z krzesłem. Zawsze teraz z krzesłem. Bo chcę, żeby korytarz był zupełnie ciemny. Bo wtedy najlepiej się po nim chodzi. A jest jedna żarówka, która nie da się wygasić tak jak inne przytknięciami kontaktów, trzeba wejść pod nią na krzesło i ją wykręcić. Krzesło odstawiam. Chodzę po korytarzu. A przed powrotem stoję na krześle, wkręcam żarówkę i wracam z krzesłem do siebie.

Tym razem wszystko się udało, jak zwykle. Żarówka paliła się uparcie przed tajemniczym mieszkaniem, w którym nie wiadomo, czy kto mieszka, czy nie, bo w nocy nikt stamtąd nie wychodzi. Nawet jeżeli się przechodzi koło tego mieszkania ileś razy i czymś się niechcący zastuka, to jest pewność, że nikt nie wyjrzy, może nikogo nie ma?

Chodziłem po ciemnym korytarzu, najpierw wolno, potem szybko, szybkie chodzenie działa bardziej narkotycznie, wolne bardziej kontemplacyjnie. Po wygaszeniu żarówek korytarz w perspektywie jest ciemny w pręgi. Pręgi są od światła, które odbijają się z daleka, z dołu z ulic. Przy dłuższym chodzeniu korytarz zaczyna się uginać, po ciemku cień i pręgi się mylą, nie wiadomo, gdzie podłoga, gdzie półcień. A jeszcze podczas deszczu przy szybkim chodzeniu odgłosy prędko się zmieniają, tu dzwoni rynna, tutaj coś się przelewa, bulgoce. Tam ktoś rozmawia? Idę szybko, ściana koło mnie się przelewa. Idę dalej, korytarz faluje, pręgi, ciemno, pręgi.

Nagle staję jak wryty. Nadchodzą? Tak, chyba słyhać.

— Przyjdą

Słucham, stają, nie, to nie ludzie. To tylko odbijanie się padania. Od rynny przez ścianę, przez perspektywę korytarza, przez echa od schodów. I robią się chóry.

Po uspokojeniu się, że nikogo nie ma, dalej chodziłem. Deszcz przeszedł w ulewę i ściany dawały swoje muzyki, w różnych odcinkach różne. Bardzo kontemplacyjne razem. I jakoś sakralne. W końcu doszedłem do tego, że to jest ruchoma płyta hinduska. Podobne dźwięki, na nieokreślonych instrumentach, nieco blaszane, tło — buczenie transformatorów i zmieniające się, podchodzące, zanikające bulgoty chórów.

Tak podszykowany zajechałem do Obór. A tu wiatr, zimnica, schodzenie do mrozu, goło, gorzej niż w Warszawie, listków prawie żadnych, gdzieniegdzie pączki, ale w tym zimnie to i na to się nie zwraca uwagi, trochę trawki, krzaki koło kocich łbów wycięte. Do tego zmęczenie porannym wstaniem. Od razu odechciało mi się tych Obór. Ale potem się uspokoiłem

i pomyślałem, że trzeba przewyciężyć i siebie, i to, co dokoła. Coś łyknałem na wzmocnienie i wyszedłem. Jednak to zwąchanie się w nocy z drogą, z błotem, nawet z zimnem coś dało. Coś zadzierzgåło. Po pierwszej nocy pierwszy poranek z siwym mrozem, ale już między ścianami, w których się miało sny. A to łączy. Byłem bokiem nastawiony do ludzi. Poszedłem na obiad, zjawiła się jedna stara baba. Dowiedziałem się na chwilę przedtem od zastępczyni kierowniczkii, że ta pani chciała ze mną siedzieć. Okazała się gestykulująca, sympatyczna, nieco roztrzepana. Weszła z bocznych drzwi druga stara dama, siwa, trudno chodząca. Usiadła koło mnie. Z początku mi się wydała nudna, małomówna, ale okazało się, że jest towarzyska, ma poczucie dowcipu. Obydwie były w powstanie w Warszawie. A w dodatku ta siwa z bocznego pokoju na Starym Mieście. Wpadłem powoli w nastrój.

Na drugi dzień nie byłem na obiedzie, bo postanowiłem nie jeść, bo była zresztą niedziela i nazjeżdżało się gości. Poszedłem na kolację. I nagle zobaczyłem panią Julię H. i pana Artura M. Odwiedziłem ich potem, gdzie siedział na krześle uśmiechnięty mały i żydowski pan Julian S.³, znany dobry literat. Pani Julia H. mówi do mnie

— Powiedzieli „Patrzcie, Białoszewski siedzi z dwiema starymi paniami, na pewno się nudzi”, a ja powiedziałam „Odwrotnie”

— Tak tak, ma pani rację, stare baby to może najciekawsze istoty na świecie. Mają co do opowiadania, przeżyły wiele, oglądały wiele na swoje konto, pochodzą z epoki przedtelewizyjnej.

Spytałem się, kto one mogą być. Pani Julia i pan Artur poinformowali mnie, że jedna pani to tłumaczka. Chyba tłumaczka. Nie nie, to tylko córka tłumaczki. Ta tłumaczka słynęła z tego, że była najstarszym członkiem Związku Literatów. Zdziwiłem się, ile mogła mieć lat, skoro ta już jest bardzo stara. No, ale niektórzy ludzie żyją długo. Ta druga pani, roztrzepana i roześmiana, okazało się, pisuje słuchowiska. Nie bardzo jej drukują i wystawiają, ale ona jest nieobrażona. Pani Julia z uśmiechem

— Ona żyje od widium do widium. — A może powiedziała „od wadium do wadium”? — Nie wiecie, co to jest, ale ja wiem
Pan Julian S.

— Lekarstwo na nerwy

— Nie, to są zamknięte konkursy. I płaci się każdemu biorącemu udział, bez względu na to, czy słuchowisko będzie nagrodzone, czy nie.

Poznałem jeszcze trzecią starą babę. Zaczęła ze mną rozmawiać już w samochodzie do Obór. Że lubi dobre filmy, że jeździ za dobrym filmem po różnych kątach o różnych godzinach. Na trzeci dzień rozmawiała ze mną po kolacji między barokowymi szafami, rozmowa zesłała na lektury, na powieści fantastyczne, o duchach, międzyplanetarne, kryminalne. Przyznałem się, że nie bardzo widzę granicę między literaturą piękną i brzydką. Że bardzo lecę ostatnio na takie tytuły, jak *Tajemniczy szkielet*, *Tajemnica piwnicy*, że mam gusty służącej.

Roześmiała się i spytała mnie, czy lubię kryminały. Ja, że lubię, jeżeli są dobrze zrobione. Ona się w końcu przyznała, że napisała kryminał. Że napisała nawet trzy kryminały. Ale pod pseudonimem.

— A jaki pseudonim?

— Karol W.⁴

— To ja pani książkę kupiłem u tego dziobatego antykwarusza na Marszałkowskiej, co przepędza klientów, przed przyjazdem tu zacząłem ją nawet czytać.

Wyjaśniła mi, że to jest jej trzeci kryminał, że jest najbardziej rozwlekły, bo tak postanowiła, a to dlatego, żeby różnił się od dwóch poprzednich. A tamte dwa poprzednie różnią się też od siebie. Mnie będzie na pewno interesował pierwszy jej kryminał⁵, najbardziej lapidarny. Przywiezie mi go w tych dniach. Rozmowa przeszła na język, na podniecające sprawy gramatyki, pochodzenia słów, na język ukraiński. I tu wydało się, że ona się wychowywała na Ukrainie. Urodziła się w Paryżu i pierwsze pięć lat spędziła we Francji, a potem mieszkała na Ukrainie, w Jekaterynosławiu, dzisiejszym Dniepropietrowsku.